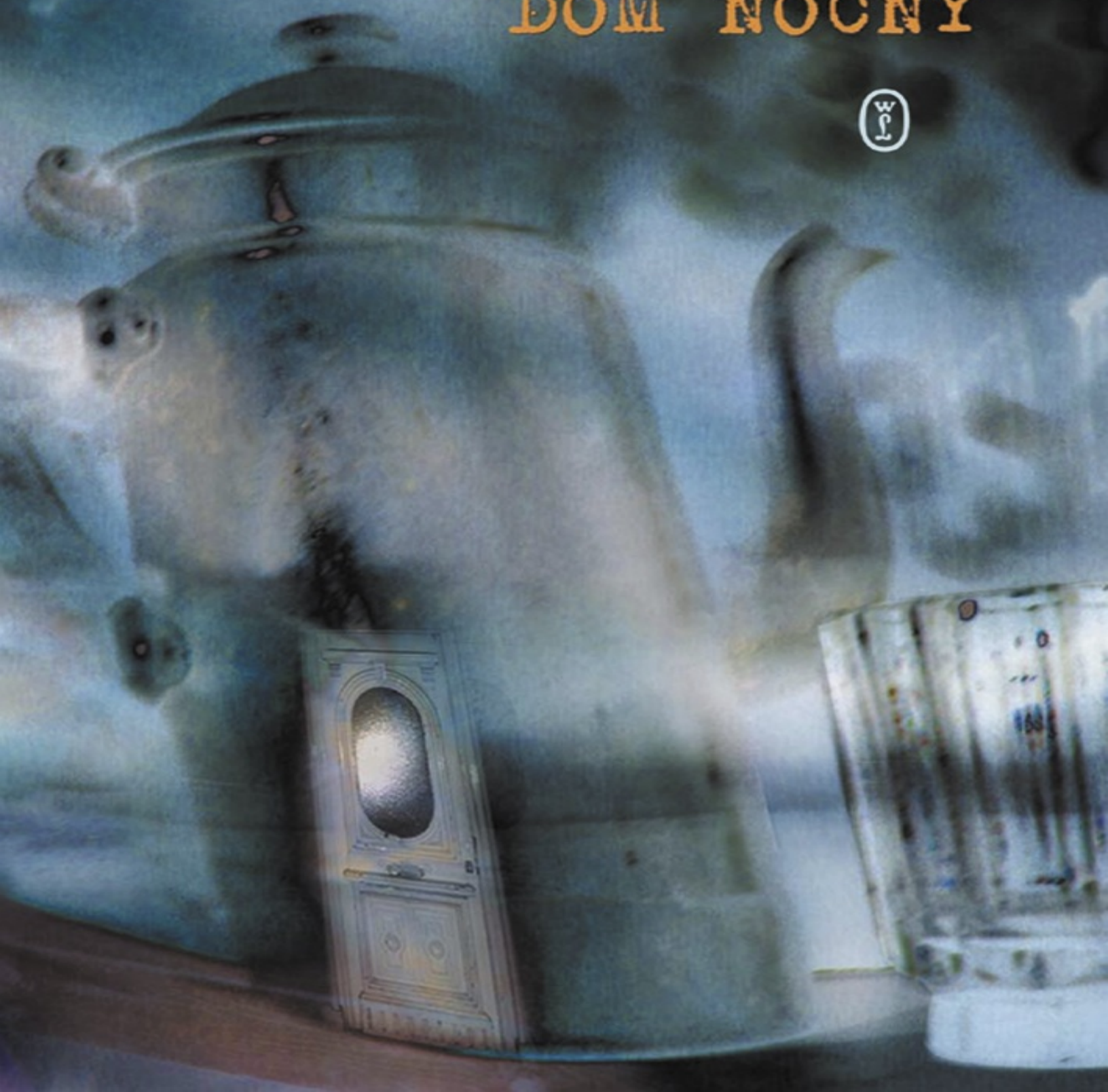


Olga  
TOKARCZUK

DOM DZIENNY,  
DOM NOCNY



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Olga Tokarczuk

DOM DZIENNY,  
DOM NOCNY

Wydawnictwo Literackie



Kraków 2012

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Sen

Marta

Redaktor prowadzący: WALDEMAR POPEK  
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT  
Projekt okładki i stron tytułowych: TOMASZ LEC

© by Olga Tokarczuk  
© by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

ISBN 978-83-08-04984-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.  
ul. Długa 1, 31-147 Kraków  
tel. (+48 12) 430 00 96  
e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)  
Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Twój dom jest twoim większym ciałem.  
Rośnie w słońcu; śpi w ciszy nocy. Miewa sny.  
Czyż twój dom nie śpi, a więc nie opuszcza miasta,  
by znaleźć się w gaju lub na szczycie wzgórza?  
Khalil Gibran

## Sen

Pierwszej nocy miałam nieruchomy sen. Śniło mi się, że jestem czystym patrzeniem, czystym wzrokiem i nie mam ciała ani imienia. Tkwię wysoko nad doliną, w jakimś nieokreślonym punkcie, z którego widzę wszystko lub prawie wszystko. Poruszam się w tym patrzeniu, ale pozostaję w miejscu. To raczej widziany świat poddaje mi się, kiedy na niego patrzę, przysuwa się i odsuwa, tak że mogę zobaczyć wszystko naraz albo tylko najdrobniejsze szczegóły.

Widzę więc dolinę, w której stoi dom, w samym jej środku, ale to nie jest mój dom ani moja dolina, bo do mnie nic nie należy, bo ja samo do siebie nie należę, a nawet nie ma czegoś takiego jak ja. Widzę kolistą linię horyzontu, który zamyka dolinę ze wszystkich stron. Widzę wzburzony, mętny potok, który płynie między wzgórzami. Widzę drzewa potężnymi nogami wrosnięte w ziemię, jak jednonogie znieruchomiałe zwierzęta. Bezruch tego, co widzę, jest pozorny. Gdy tylko zechcę, mogę przenikać przez pozory. Wtedy pod korą drzew zobaczę ruchome strumyczki wody i soków, które krążą tam i z powrotem, w górę i w dół. Pod dachem widzę ciała śpiących ludzi i ich bezruch także jest pozorny — delikatnie pulsują w nich serca, szmerze krew, nawet ich sny nie są rzeczywiste, potrafię bowiem ujrzeć, czym one są: pulsującymi kawałkami obrazów. Żadne z tych śpiących ciał nie jest mi bliższe, żadne dalsze. Po prostu na nie patrzę i w ich pogmatwanych sennych myślach widzę siebie — wtedy odkrywam tę dziwną prawdę. Że jestem patrzeniem, bez refleksji, bez żadnej oceny, bez uczuć. I zaraz odkrywam inną rzecz — że potrafię patrzeć także poprzez czas, że tak samo jak zmieniam punkt widzenia w przestrzeni, mogę go zmieniać także w czasie, jakbym było strzałką na ekranie komputera, która jednak porusza się sama z siebie albo po prostu nie wie nic o istnieniu poruszającej ją dłoni.

Tak śnię, wydaje mi się, nieskończenie długi czas. Nie ma przed i nie ma po, nie oczekuję też niczego nowego, bo nie mogę ani nic nabyć, ani nic stracić. Noc się nigdy nie kończy. Nic się nie dzieje. Nawet czas nie zmienia tego, co widzę. Patrzę i ani nie poznaję nic nowego, ani nie zapominam tego, co raz zobaczone.

## Marta

Cały pierwszy dzień obchodziliśmy swoją ziemię. Gumowce zapadały się w gliniasty grunt. Ziemia była czerwona, ręce brudziły się na czerwono, a gdy się je myło, płynęła czerwona woda. R. po raz kolejny oglądał drzewa w sadzie. Były stare, krzaczaste, rozrośnięte na wszystkie strony. Takie drzewa nic pewnie nie urodzą. Sad ciągnął się aż do lasu i zatrzymywał na ciemnej ścianie świerków. Stały jak wojsko. Po południu znowu zaczynał padać śnieg z deszczem. Woda zbierała się na gliniastej ziemi, tworzyła strużki i strumyki i płynęła z góry prosto na dom, wsiąkała w ściany i zniknęła gdzieś pod murem. Ze świeczką zeszliśmy do piwnicy, zaniepokojeni nieustannym szmerem. Po kamiennych schodach płynął cały potok, przemywał kamienną podłogę i wypływał niżej, od strony stawu. Zrozumieliśmy, że dom stoi na rzece, że zbudowano go nieopatrznie na płynącej podziemnej wodzie i teraz nic już się z tym nie da zrobić. Można się jedynie przyzwyczaić do ponurego, wiecznego szumu wody, do niespokojnych snów.

Druga rzeka była za oknem — to strumień pełen zmaczonej czerwonej wody, która podmywa bezradnie nieruchome korzenie drzew i znika w lesie.

Z okna długiego pokoju widać dom Marty. Od trzech lat zastanawiałam się, kim jest Marta. O sobie zawsze mówiła co innego. Za każdym razem podawała inny rok urodzenia. Dla mnie i dla R. Marta istniała tylko latem, zimą zniknęła, jak wszystko tutaj. Była drobna, całkiem siwa, brakowało jej

zębów. Jej skóra — pomarszczona, sucha i ciepła. Wiem to, bo pocałowałyśmy się na przywitanie, nawet niezdarnie przytuliłyśmy się do siebie i poczułam jej zapach — wysuszonej na siłę wilgoci. Taki zapach zawsze zostanie, nie da się zlikwidować. Ubrania, które zmokły na deszczu, trzeba wyprać, tak mówiła moja mama, ale ona w ogóle prała wszystko niepotrzebnie. Otwierała szafy, wyciągała czyste, wykrochmalone prześcieradła i wrzucała je do pralki, jakby nieużywanie brudziło je tak samo jak używanie. Zapach wilgoci sam w sobie był nieprzyjemny, ale na ubraniu Marty, na jej skórze pachniał znajomo i miło. Jeżeli była tutaj Marta, wszystko znajdowało się na swoim miejscu, wszystko było w największym porządku.

Marta przyszła zaraz drugiego wieczoru. Najpierw piliśmy herbatę, potem to zeszłoroczne wino z dzikiej róży, ciemne i gęste, tak słodkie, że mąciło w głowie po pierwszym łyku. Wyciągałam z pudeł książki. Marta trzymała kieliszek w obu dłoniach i patrzyła bez zainteresowania. Pomyślałam, że Marta nie umie czytać. Tak mi się wydawało. To było możliwe, była wystarczająco stara, żeby ominęły ją publiczne szkoły. Litery nie zatrzymywały jej wzroku, ale nigdy jej o to nie pytałam.

Podniecone suki wchodziły i wychodziły. Przynosiły na sierści zapach zimna i wiatru; grzały się przy rozpalonej kuchni, a potem ciągnęło je w sad. Marta muskała ich grzbiety swoimi długimi, kościstymi palcami i powtarzała im, że są piękne. I tak cały wieczór mówiła tylko do suk. Patrzyłam na nią spod oka, układając książki na drewnianych półkach. Lampka na ścianie oświetlała czubek jej głowy z pióropuszem cienkich siwych włosów. Na karku robił się z nich warkoczyk.

Pamiętam tyle rzeczy, a nie pamiętam, jak zobaczyłam Martę po raz pierwszy. Pamiętam wszystkie pierwsze spotkania z osobami, które potem stały się dla mnie ważne; pamiętam, czy świeciło słońce, pamiętam szczegóły ubrania (śmieszne enerdowskie buty R.), pamiętam zapachy, smaki i coś jakby fakturę powietrza — czy było szorstkie i sztywne, czy gładkie i chłodne jak masło. Od tego zależy pierwsze wrażenie. Takie rzeczy zapisują się gdzieś w tych osobnych, może zwierzęcych częściach mózgu i nigdy nie dają się zapomnieć. Ale pierwszego spotkania z Martą nie pamiętam.

Musiało to być wczesną wiosną — tutaj to czas wszystkich początków. Musiało to być w tej nierównej przestrzeni doliny, bo Marta nigdy dalej sama nie wychodzi. Pewnie pachniało wodą, roztopionym śniegiem. Musiała mieć na sobie ten szary sweter z rozciągniętymi dziurkami.

Niewiele wiedziałam o Marcie. Wiedziałam tylko to, co ona odsłoniła mi sama. Wszystkiego musiałam się domyślać i zdawałam sobie sprawę, że fantazjuję na jej temat. Tworzę Martę z całą jej przeszłością i teraźniejszością. Bo kiedy tylko prosiłam, żeby opowiedziała mi coś o sobie, jak była młoda, jak wtedy wyglądało to, co teraz wydaje się takie oczywiste, ona zmieniała temat, odwracała głowę do okna albo po prostu milkła i w skupieniu kroїła kapustę czy plotła te swoje-cudze włosy. Nie czułam w tym niechęci do mówienia. Było tak, jakby Marta po prostu nie miała nic do powiedzenia o sobie. Jakby nie miała żadnej historii. Lubiła mówić tylko o innych ludziach, których ja widziałam może kilka razy przypadkiem albo wcale ich nie widziałam, bo widzieć już ich nie mogłam — żyli zbyt dawno. Także o tych, którzy najpewniej wcale nie istnieli — potem znalazłam dowody, że Marta lubiła zmyślać. I o miejscach, w których tych ludzi zasadzała jak rośliny. Mogła mówić godzinami, aż miałam dość i szukałam grzecznego pretekstu, żeby jej przerwać i wracać już przez trawy do domu. Czasem przerywała swoje wywody nagle, bez powodu i nie wracała do tego tematu przez tygodnie, żeby potem ni stąd, ni zowąd zacząć: „A pamiętasz, jak ci mówiłam...”. „Pamiętam”. „Więc to było dalej tak, że...” — i ciągnęła jakiś zasuszony watek, a ja szukałam w pamięci, o kim mówi i na czym przerywała. I co dziwne, przypominała mi się raczej nie sama historia, ale właśnie opowiadająca Marta, jej drobna postać, jej okrągłe plecy w sweterku o porozciąganych dziurkach, jej kościste palce. Czy mówiła to w przednią szybę samochodu, gdy jechałyśmy do Wambierzyc zamówić deski, czy może rwałyśmy wtedy rumianek na polu Boboła. Nie

potrafiłam nigdy odtworzyć całej tej historii, lecz zawsze samą scenę, okoliczności, świat, który ją we mnie zakorzenił, jakby te historie były jakieś nierealne, zmyślane, wyśnione, poodbijane w jej i mojej głowie, rozmyte przez słowa. Przerzywała je tak samo nagle, jak zaczynała. Z powodu jakiegoś widelca, który upadł na podłogę i jego aluminiowy brząk roztrzaskiwał ostatnie zdanie, zatrzymywał następne słowo w jej ustach tak, że musiała je przełknąć. Albo wchodził Taki-a-Taki, jak to on, zawsze bez pukania, tupiąc buciorami od progu i ciągnąc za sobą strużki wody, rosy, błota — cokolwiek tam było na zewnątrz — a przy nim w ogóle nie dało się już niczego powiedzieć, taki był hałaśliwy.

Wielu rzeczy opowiadanych przez Martę nie zapamiętałam. Zostawały mi po nich jakieś niewyraźne puenty, jak musztarda zostawiona na brzegu talerza, kiedy główny posiłek został już zjedzony. Jakieś scenki, straszne lub zabawne. Jakieś obrazy wyrwane z kontekstu — że dzieci łowiły pstrągi w strumieniu gołymi rękoma. Nie wiem, po co gromadziłam takie szczegóły, a zapomniałam całą opowieść, która przecież musiała coś znaczyć, skoro była opowieścią z początkiem i końcem. Zapamiętywałam same pestki, które potem moja pamięć — i słusznie — musiała wypluć.

To nie było tak, że tylko słuchałam. Ja też do niej mówiłam. Kiedyś na początku powiedziałam jej, że boję się umierania, nie śmierci w ogóle, ale samego momentu, kiedy już nie będę mogła niczego przesunąć na potem. I że ten strach przychodzi zawsze wtedy, gdy jest ciemno, nigdy za dnia, i trwa kilka strasznych chwil, jak atak epileptyczny. Zaraz zawstydziłam się tego nagłego wyznania. Wtedy to ja starałam się zmienić temat.

Marta nie miała duszy terapeuty. Nie dopytywała, nie rzucała nagle mytych naczyń, żeby przy mnie usiąść i poklepać mnie po plecach. Nie próbowała, tak jak inni, wszystkiego co ważne umieścić w czasie i zapytać nagle: „Kiedy to się zaczęło?”. Nawet Jezus nie uniknął tej bezsensownej pokusy i spytał o to samo opętanego, którego miał uzdrowić. „Kiedy to się zaczęło?” A przecież wydawałoby się, że najważniejsze jest tylko to, co trwa teraz, przed samymi oczami. Że pytanie o początek i koniec nie daje żadnej wartościowej wiedzy.

Czasem myślałam, że Marta nie słucha albo jest nieczuła jak ścięte, martwe drzewo, bo w takiej chwili brząk naczyń, jak oczekiwałam, nie milkł, a jej ruchy nie traciły automatycznej płynności. Wydawała mi się nawet jakaś okrutna, nie raz i nie dwa, jak na przykład wtedy, gdy tuczyła te swoje koguty, a potem zabiła je i zżarła, wszystkie naraz, w ciągu dwóch jesiennych dni.

Nie rozumiałam Marty i teraz jej nie rozumiem, gdy o niej myślę. Ale po co mi rozumienie Marty? Co miałyby mi dać jasne odkrycie motywów jej zachowań, źródeł, z jakich płynęły jej wszystkie opowieści? Co dałaby mi jej biografia, jeżeli w ogóle Marta miała jakąś biografię? Może są ludzie bez biografii, bez przeszłości i bez przyszłości, którzy zjawiają się innym jako wieczne teraz?

---

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

---

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).